Nr. 2. Rok I.



Cena prenumeraty
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincyi 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 7 Stycznia 1871.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Mieszkania nawodne przedhistoryczne.

przez

Dr. K. Libelta.

(Ciąg dalszy.)

c) Nawodziska w ogólności.

Wysokość wystających pali sięgała zapewne do powierzchni wody, stanowiącéj najlepszy wagomiar. Ale że wysokość wody z czasem zmienia się, i już się podnosi już opada, ztąd poszło, że dziś na jednych wodach pale sterczą z wody, a na drugich pod wodą się znajdują, najczęściéj ukryte w szlamie, który się z czasem osadził.

Na te pale kładziono rodzaj podłogi, najwięcéj pomosty na 4 do 5 łokci szerokie, z drzew, ściśnionych ze sobą palami, wbijanemi w spód jeziora. Pomosty te z czasem pospadały na grunt, i przechowały się aż do naszych czasów. Podłogi z nich złożone nie wszędzie są tego samego rodzaju. Znaleziono w niektórych miejscach dwie podłogi na sobie leżące, co dowodzi, że gdy woda się znacznie podnosiła podczas jéj przypływu, a opadała podczas jéj upływu, co na wielkich jeziorach zwykle ma miejsce, budowano dwie podłogi, niejako dwa piętra. W nawodziskach pod Wauwyl natrafiono aż na pięć podłóg na sobie leżących, wszystkie razem obejmowały koło trzech stóp grubości. Ostatnia podłoga leżała na gruncie, a cztery inne pod różnemi kątami po nad sobą. Wszystkie były palami ściśnione. Niekiedy jedna podłoga leży niżéj a druga wyżéj, i z jednéj do drugiéj prowadzą pomosty na 4 stopy szerokie, dla komunikacji mieszkańców nawodnych. W niektórych miejscach pozostały ślady mostów, prowadzących od nawodzisk do stałego brzegu jeziora.

Jakie na tych podłogach stawiano szałasze lub chaty, nie wiadomo. Rysunek, który pod tym względem podał Lyell w dziele „O starożytności rodzaju ludzkiego" przełożoném na niemieckie przez L. Büchnera, jest fantazją i domysłem, na podobieństwo obrazków topograficznych z przedpotopowych czasów. Przechowały się szczątki ścian, składające się z wypleci gałęzistych, gliną na obie strony pozalepianych; widać z palów, służących za fundamenta, że budowy na nich postawione już były okrągłe, już czworograniate. ale jaka była tych domostw forma i budowa, domyślać się tylko chyba możemy. Na samych domysłach opiera się także twierdzenie, że nawodziska zawierały 200 do 300 chat i z okładem do tysiąca mieszkańców, bo prócz niepewnego obszaru rozciągających się palów, nie ma żadnych danych, na którychby to twierdzenie oprzeć można.

O wieku, jakiego te budowy nawodne sięgają, różne są zdania archeologów. Gillicron obliczył z różnych towarzyszących okoliczności, że nawodziska w pobliżu miasta Newszatel w Szwajcarji najmniéj 6,000 lat są stare. Inni sięgają daleko daléj, inni daleko bliżéj. Jedni i drudzy może mają rację, bo nie ulega wątpliwości, wedle znalezionych wykopalisk, że budowle nawodne bardzo odległych sięgają epok, i że znowu inne aż do historycznych przeciągnęły się czasów. O tych ostatnich mamy nawet dwa wiarogodne świadectwa. Lekarz Hippokrates, który się urodził na 460 lat przed Chrystusem, mówiąc o febrach, opisuje sposób życia mieszkańców, żyjących nad ujściem rzeki Phasis, która wpływając po wschodniéj stronie morza czarnego, tworzy przy ujściu obszerne, niezdrowe trzęsawiska; — że na tych mokrzadach rzecznych ludzie ci budują sobie domy z drzewa i trzciny i jeżdżą po łodziach wyrobionych z pnia wyżłobionego. Nowsi podróżni twierdzą, że i dziś jeszcze nad ujściem bagnistego Donu, podobne mieszkania na febrzatych moczarach téj rzeki znajdują się.

Ważniejsze drugie świadectwo pozostawił nam He-

rodot, którego wiekopomne historyczne dzieło wyszło około roku 450 przed Chrystusem. Radzca konsystorski Hassler ze Stutgardu zwrócił pierwszy uwagę na to miejsce, wskazujące wyraźnie na mieszkania nawodnè. W Tracji — powiada ojciec historyków greckich, — mieszkało pokolenie Peończyków i wybudowało sobie na jeziorze Prasias, mieszkania na palach, tworząc tym sposobem niezdobytą fortecę, któréj nawet Megabazos, wódz Darjusza, za wojen perskich posieść nie mógł, chociaż okoliczne pokolenia Trackie zawojował i podbił. Uczony podróżny francuski Deville odszukał w nowszych czasach szczątki tych palów, które wedle Herodota tym sposobem powstały, że nasamprzód wszyscy wolni obywatele wzięli się do wybudowania mieszkań nawodnych, a następnie utrzymywali je i powiększali w ten sposób, że każdy obywatel, który pojął żonę, obowiązany był z przyległych gór Orbelos trzy pale sprowadzić, wbić w jezioro, położyć na nich podłogę, a następnie dom wystawić na téj przestrzeni trójgraniastéj. A że wielożeństwo było między nimi dozwolone, przypadło na jednego obywatela nieraz kilka takich domów, które naturalnie musiały być nader szczupłe.

Oprócz tych dwóch świadectw, nie posiadamy innych, i wnosimy tylko, że na tych budowlach jeszcze z kamiennéj epoki, sadowili się mieszkańcy i z epoki bronzowéj, a nawet z epoki żelaznéj. A być może, że i w późniejszych czasach takie nawodne mieszkania stawiano. Za pierwszém przemawia ta okoliczność, że np. na nawodziskach, odkrytych w torfie, pod Moosseedorf, do wysokości pięciu stóp od gruntu znaleziono same kamienne i kościanne rzeczy; na kilka stóp wyżéj natrafiono na monety rzymskie; a w warszcie saméj napływowéj ziemi u wierzchu znalazły się przedmioty z wieków średnich. W nawodziskach jeziora Neuenburgskiego po sprzętach z kamieni i kości, pokazują się wyżéj bronzy, a najwyżéj nawet żelazne narzędzia. O rzeczywiście późniejszych budowlach nawodnych świadczą nawodziska w jeziorze Genewskiém i w jeziorze Bielowskiém pod Sternbergiem, w których same bronzowe przedmioty wydobywano. A nawet w jednym przypadku w La Tène pod Marin nad jeziorem Neuenburgskiém, znaleziono samo tylko żelazo.

Wszakże i o tych najpóźniejszych budowlach nawodnych, nie posiadamy żadnego historycznego śladu, z któregobyśmy wnosić mogli, jaki lud je budował, jakie były tego ludu dzieje, jaka religja, jakie społeczne urządzenia. Wszystko się w niepamięci zatarło, czyto że kultura tych ludzi była za niska, czy że obce ucywilizowane narody tędy nie przechodziły, a jeżeli pojedynczy mieszkańce zkądinąd tu docierali, nie zostawili o tém żadnych pamiątek. To jedno tylko widać, że wszystkie te osady nawodne ogniem zburzone zostały, czyto że je mieszkańcy sami tym środkiem niszczyli, uchodząc przed nieprzyjacielem, czy że hordy najezdników tego zniszczenia dokonały.

Stan kultury mieszkańców nawodnych o wiele już wyższy od kultury tych ludzi, po których kurhany kuchenne pozostały. Sam zmysł budowania domostw na wodzie i obrobienia ku temu takiéj ilości drzewa, choćby samym tylko kamieniem, dowodzi już wyższego ludzkiego poglądu i stowarzyszonéj pracy. Atoli same przedmioty wynajdywane gromadnie w tych siedliskach nawodnych, chociażby z najodleglejszych czasów, pozwalają robić wniosek, że mieszkańcom tym znane już było rolnictwo i chów swojskich zwierząt. Dodajmy w tém miejscu, że archeologowie, takie przedmioty nawodziskowe nazywają osobném mianem anticaglia. Namnożyło się tych przedmiotów już tyle, że znaleźli się niesumienni spekulanci, którzy podrobione rzeczy za prawdziwe anticaglia, za drogie pieniądze sprzedają.

Najskrupulatniejsze poszukiwania okazały, że w samym gruncie jeziornym lub rzecznym, który się składa z iłu, gliny, piasku, a wielekroć z pokładu muszlanego wapna, który białym gruntem nazywają, że tam krom geologicznych petryfikacji np. słoniowych kości, żadne antikaglje się nie znajdują. Ich rewir poczyna się dopiéro w namuliskach i torfiskach pomiędzy palami, i to bardzo blisko samego gruntu. W epoce kamiennéj ludzie ci z wielką pracą i starannością obrabiali kamienie, wywiercali w nich dziury, na rękojeści, nie posiadając ku temu żadnych narzędzi metalowych. Twardszą molassę używali do piłowania i gładzenia i wyrabiali z niéj ręczne wyżłobione młynki; z serpentyny wykuwali młoty i siekiery; z twardego krzemienia i tak zwanéj gładkiéj zanokcicy urządzali sobie najrozmaitsze narzędzia. Nie posiadając tego rodzaju twardych kamieni u siebie, sprowadzali je z odległych stron, z czego wnosić można o komunikacjach handlowych i stosunkach z innemi ludami. Znajdują się ślady bursztynu i nefrytu, które także z daleka im przychodziły. Płyty krzemienne, wyzębione, pół stopy szerokie, zastępowały zapewne nasze sierpy. Z drzazg twardego głazu albo z rogów zwierzęcych wyrabiali szpilki, kolce, kliny, noże i inne narzędzia. Między widłowate gałęzie znaleziono wciśnięty kamień, zapewne rodzaj procy.

Zrazu prowadzili życie rybackie i łowcze. Ale że i z rolnictwem i owocami obeznani byli dowodzą ogorzałe kłosy i ziarna pszenicy, dwu i sześciorzędowego jęczmienia, owsa, które się w tych rumowiskach przechowały. Żyta nie znali. Znajduje się ono dopiéro w późniejszych warstwach. W niedostatku wiatraków i młynów, prażyli ziarno i śrutowali je między okrągłemi wygładzonemi głazami. Z ciasta takiego wypiekali chléb między rozpalonemi kamieniami. Znaleziono spalone jabłka i gruszki, zapewne dzikie, pestki wisien i śliwek, ziarnka nasienne malin i jeżyn, łupiny laskowych orzechów i buczyny. Chodowali także len, co się pokazuje i z odnalezionego siemienia lnianego, i z kulek gliniastych, któremi naciągali nici do wyrabiania płótna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NOWY ROK.*)

Na wysokości hołd dobremu Bogu,
Pokój na ziemi ludziom dobréj woli!

Oto gość cichy na przyszłości progu,
Tajemny zwiastun doli i niedoli;
Z dłonią zamkniętą, z obliczem bez mowy
Na staréj ziemi, staje znów rok nowy.
Słyszycie, w ciszy jak z klepsydry czasu,
Nim błyśnie promień porannego brzasku,
W otchłań wieczności spada bez hałasu,
Ziarneczko piasku!

Patrzcie! w gościnę przychodzi promienny,
W dumne pałace i schylone strzechy,
Pomiędzy płacze, i między uśmiechy,
Między bogacze, i tłum z trudu senny;
Ku niebu lice podnosi rumiane,
Po ziemi puszcza wzrok sokoli, młody

*) Wiersz ten, z pewnemi zmianami, wygłosił na przedstawieniu noworoczném, w teatrze poznańskim, dyrektor p. Nowakowski.

A u nóg jego, klęcząc zadyszane
Patrzą mu w oczy ludzie i narody.

Przy jego przyjściu, ziemia jak kraina
Z baśni, w czarowny, nagły sen zaklęta,
Staje, czekając, niepokojem zdjęta:

Robotnik-pająk, co warsztat rozpina,
Nad batystową chustką szwaczka blada,
Przy pracy mrówcza młodzieży gromada,
Po welon ślubny sięgająca dziewa,
Wieszcz — w którym nowa pieśń już cicho śpiewa,
Ręce co białe kolébki kołyszą,
Myśli co dążą po szczęście zuchwale,
Planów, porywów, i ambicji fale
U skrzydeł jego, całe drżące, wiszą.

Patrzcie! tam czarna żołnierzy lawina,
W wściekłym uścisku, na zdeptanym śniegu
Zahamowana nagle jak koń w biegu
Chwieje się, cofa, trzęsie się i wspina;
Na gardle brata dłoń już zaciśnięta,
Wolnieje nagle i na dół się zmyka,
Broń wymierzona w serce przeciwnika
Nagle w powietrzu zawisa — zwichnięta.

Na łzy niewinne i na szał zbrodniczy
Schodzi rok nowy — Anioł tajemniczy.

Oh! ileż piersi wita go okrzykiem?
Téj biednéj ziemi szerokie przestworze
W koło wołaniem rozebrzmiewa dzikiém,
Kopytem zryty łan prosi o zboże,
Zczerniałe ręce trzęsą się do chleba,
Zmęczone dłonie wznosząc do anioła,
Sztuka o miłość i przytułek woła,
Gwar wielki rośnie, od ziemi do nieba.
Lecz nad ten cały szmer ziemskiego roju,
Silniéj wybija się i wyżéj leci,
Łkających matek błaganie: pokoju!

Chwilę! — na niebie rój gwiazd bleżdziéj świeci,
Obłoki biorą purpurowe rąbki
Oto już ciągną wóz wschodu, gołąbki;
Wnet pęknie niebo, i na pierś obłoku,
Wtoczy się oko Boże, — złote słońce
Zapalające dzień Nowego Roku.

Szczęścia, pokoju, i radości gońce
Długim orszakiem za tym pierwszym dzionkiem
Da Bóg przypłyną, jasnych chwil szeregi.
A gdy dziewiczą stopą depcząc śniegi,
Wiosna z pierwiosnkiem przyjdzie i skowronkiem;
Ujrzy już może szczęście w rodzin łonie
Darń na mogiłach i pług na zagonie.

Wł. Ordon.

Pod jednym dachem.

Powieść
przez
Wołodego Skibę.
(Ciąg dalszy.)

Pan Porwicz zatém, mimo usilnéj pracy, zarabiał tylko na skromny byt, a znać było i po nim i po żonie, że byli przyzwyczajeni do wygodniejszego życia. W mieszkanku, które zajmowali, były niektóre sprzęty, co nawet pańskością trąciły. Śliczne pianino, na którém niekiedy pani Porwiczowa wygrywała zachwycające mieszkańców Babiéj wyspy melodje, parę zwierciadeł, które mogłyby stanowić ozdobę niejednego krakowskiego saloniku, dywany, różne cacka i drobiazgi upiększające siedzibę, kazały się domyślać, że państwo Porwiczowie mieli kiedyś świetniejsze czasy, po których im dzisiaj tylko pozostały pamiątki.

Prócz tego cała Babia wyspa wiedziała, że byli przybyszami w mieście, i że, pochodząc z innych stron kraju, od lat kilku dopiéro z skromnym swoim dobytkiem w Krakowie osiedli, a przedtém dosyć czasu w podróży po Europie przepędzili.

Wszystko to jakimś urokiem oblekało ich na Babiéj wyspie, a urok ten powiększało jeszcze bardziéj rozsądne i pełne taktu postępowanie pani Porwiczowéj w stósunkach z sąsiedztwem. Mogli lokatorowie drzéć z sobą koty najzawzięciéj, pani Porwiczowa umiała pozostać neutralną i mile widzianą zawsze, nawet przez srogo z sobą wojujące strony. Tym taktem zjednała sobie pani Porwiczowa najogólniejszą w całym domu sympatję, nietylko mężczyzn, bo ci ją uznawali za najpiękniejszą Babiéj wyspy mieszkankę, ale i kobiét, które daleko trudniéj zadowolnić kobiecie, a zwłaszcza téż ogólnie przez mężczyzn za najpiękniejszą uznawanéj.

W zachowaniu uprzejmych i zgodnych ze wszystkiemi stosunków, nadzwyczaj dopomagało pani Porwiczowéj to, że mieszkanie które zajmowała, nie przylegało bezpośrednio do żadnego innego, lecz było całością zamkniętą, stanowiąc zupełnie oddzielną, odsuniętą od innych budowli domowych oficynę.

Po drugiéj stronie podwórza, w innéj znów oficynie były dwa lokale, każdy z oddzielnym wchodem, z pokoju i kuchenki złożony.

Jeden z tych lokalów zajmowała wdowa emerytka z synem. Była to staruszka sucha, koścista, a porywcza i rzadko z czego zadowolona, przyczém lubiła wyrażać swoje niezadowolenia głośno i otwarcie tam nawet, gdzie chodziło o rzeczy, które jéj bynajmniéj obchodzić nie były powinny i w które mieszać się nie miała prawa. Krytykowała zarząd domowy panien Rękalskich, dawała nauki przyzwoitego zachowania się dzieciom pani Tuckiéj, karciła Kazię za ciekawość, a pannie Petroneli dowodziła, że gdyby się wzięła do jakiéj pożytecznéj pracy, toby nie miała powodu i ochoty tak często się zalewać łzami melancholji. Pani Porwiczowéj ganiła jéj uprzejmość i pobłażliwość dla wszystkich, i wmawiała w nią, że sąsiadki nie są bynajmniéj dla niéj odpowiedniém towarzystwem.

Naturalnie, że te wszystkie uwagi pani Gącińskiéj (tak się nazywała staruszka) drażniły innych lokatorów i gospodynie, i że z tego rozdrażnienia wynikały często kwasy domowe...

Z jedną tylko panią Porwiczową gdérliwe usposobienie pani Gącińskiéj nic poradzić nie mogło. Umiała ona pozostać w zgodzie i zjednać sobie życzliwość nawet téj niezbyt miłéj i zgodnéj osoby, czemu na Babiéj wyspie najpowszechniéj się dziwiono.

Syn pani Gącińskiéj, trzydziestokilkoletni wdowiec, był urzędnikiem. Rzadko bywał w domu dłużéj jak na parę godzin wieczornych, resztę dnia przepędzając w biurze i w mieście, a sympatji u mieszkanek Babiéj wyspy pozyskał sobie nie wiele, może dla tego, że więcéj czasu poświęcał obcym niż domowym bogom.

Ten brak sympatji miał jednak i swoją dobrą

stronę, bo się panem Baltazarem Gącińskim najmniéj interesowała Babia wyspa.

Drugi lokal w téj saméj oficynie był niezajęty. Zajmowała go przedtém także jakaś wdowa po urzędniku, ale ta przeniosła się do dzieci, które bawiły na wsi, i na tydzień może przed rozpoczęciem naszéj powieści stanowczo opuściła Kraków.

W epoce zatém, w któréj się powieść nasza zaczyna, ludność Babiéj wyspy składała się z siedmiu głów męzkich i trzynastu niewieścich, a powiększyć się mogła wkrótce, albowiem dwa lokale były do wynajęcia i lada dzień wynajęte być mogły.

Życie na Babiéj wyspie płynęło zawsze jednostajnym biegiem. Był pewien porządek na święto i na dzień powszedni, i na dzień słotny i na pogodny; dosyć było dwa tygodnie pomieszkać, aby się tego porządku na pamięć nauczyć, ażeby wiedzieć o których godzinach, w jakiém ubraniu i na jak długo kto wychodził na miasto, czy brał i jaką książkę do nabożeństwa, gdzie się udawał, kiedy wracał, o których godzinach na podwórzu zbierały się drobniejsze gromadki sąsiadek, a o których większość mieszkańców Babiéj wyspy zgromadzała się w ogródku i rozpoczynała sejm walny.

Jedyną nowością, czemś niezwykłém i rzadkiém na Babiéj wyspie była instalacja nowego lokatora, a że było aż dwa lokale do wynajęcia, więc mieszkańcy Babiéj wyspy gotowali się na ważne i wcale niezwykłe wypadki.

II.

Nowi ludzie zaczynają się ukazywać.

Dwie karty donoszące o mieszkaniach do wynajęcia, będące dziełem pióra i pięknéj rączki panny Teodory, niedługo przyozdabiały bramę domu, któremu złośliwość krakowska miano Babiéj wyspy nadała, a którego mieszkańców w sposób może zanadto ryczałtowy i przypominający afisz teatralny zaprezentowaliśmy łaskawym czytelnikom naszym. Leży nam cokolwiek na sumieniu autorskiém ta długa litanja lokatorów, obejść się jednak bez niéj nie było podobna, gdyż zaznajamianie czytelników z pojedynczemi postaciami w miarę ich ukazywania się w powieści, byłoby zapewne jeszcze niedogodniejszém. Niechaj więc każdy, kto poprzedni rozdział przeczytał, wystawi sobie, że przyszedł do teatru cokolwiek wcześniéj, nim zagrzmiała muzyka i nim się podniosła zasłona i nie mając nic lepszego do roboty, przeglądał program widowiska, i z suchego wykazu osób snuł dowolne domysły: jaka też to będzie sztuka.

W obecnych czasach w Krakowie mieszkania nigdy długo nie stoją pustkami, częściéj daleko kłopocze się lokator, że nie może znaleść, nie już wygodnéj i odpowiedniéj, ale jakiéjkolwiek siedziby, niż gospodarz, że nie może znaleźć lokatora. Taki stan rzeczy w każdém inném mieście byłby oznaką szybkiego jego wzrostu, napływu przybyszów garnących się w jego mury czy z prowincji czy z zagranicy, gromadzenia się ludności postępującego prędzéj niż przedsiębiorczość miejscowa z wznoszeniem domów nastarczyć jest w stanie.

W Krakowie brak mieszkań wywołuje komplikacja kilku zupełnie różnych przyczyn. Popęd do wznoszenia nowych budowli jest bardzo słaby, i inaczéj być nie może w mieście rozmiłowaném w starożytnościach, cenięcém to tylko co ma kilkowieczną przynajmniéj historję i co uświęciły tradycje. Ludność nie zwiększa się wprawdzie nadzwyczajnym napływem obcych, ale wzrasta naturalną rzeczy koleją. Żydzi z Kazimierza i Stradomia garną się do właściwego miasta, w którém im dawniéj mieszkać nie było wolno, i rugują chrześcjańskich mieszkańców z najkorzystniejszych sklepów i najdogodniejszych lokalów, chrześcjańscy zaś mieszkańcy najmniejszéj nie mają ochoty wynosić się z miasta na opróżnione chwilowo przez synów Izraela kazimierskie i stradomskie siedziby. Wszystko to razem sprowadza napływ konkurentów do każdego chwilowo opuszczonego lokalu, i jest stanem dla właścicieli domów, pomimo ich narzekania, nadzwyczaj pożądanym i korzystnym.

Pewnego tedy pięknego poranku znalazł się dla Babiéj wyspy lokator, a tegoż samego dnia po południu znalazła się lokatorka. Oba próżne lokale zostały zajęte, i to nie czekając zwykłego kwartalnego terminu, lecz zaraz nazajutrz po ich obejrzeniu i złożeniu zadatku na komorne.

Nie stało się to jednak w sposób cichy i prosty, nie dający powodu do żadnych uwag i domysłów, a może i do czegoś więcéj. Owszem wprowadzenie się nowych ludzi tak zainteresowało Babią wyspę, że godzi nam się opowiedzieć szczegółowo zaciekawiające okoliczności, które towarzyszyły temu ważnemu wypadkowi, a raczéj tym dwom równoważnym wypadkom.

Był to dzień powszedni, kalendarz Czecha nie zapowiadał żadnego odpustu, a na takie dnie porządek domowy Babiéj wyspy stanowił, że panny Rękalskie po kolei wychodziły do kościoła, i wysłuchawszy jednéj tylko mszy świętéj, wracały do domu. Najraniéj wybierała się panna Teodora, po niéj brała książkę do nabożeństwa panna Eleonora, a gdy powróciła do domu, panna Izydora z kolei niosła do domu bożego wspólną na dzień powszedni księgę modlitewną i szła dopełnić chrześcjańskiego obowiązku.

Otóż w dniu, o którym mówimy, już wszystkie trzy siostry uczyniły pod tym względem zadość porządkowi domowemu, a właśnie najmłodsza, panna Izydora powracała do domu ze świątyni, idąc wolnym krokiem w pobożném jeszcze skupieniu ducha, gdy jéj się wydało, że ktoś postępuje za nią w pewnéj odległości, tak jakby nie chciał ani pozostać w tyle, ani się zbliżyć do niej i wyprzedzić.

Tym ktosiem — zdrajcy buty mówiły to wyraźnie, — nie mógł być kto inny jak mężczyzna.

Serduszko panny Izydory na ten okropny domysł dygotać zaczęło obawą czy oburzeniem a może tem obojgiem od razu. Ścigać kobiétę na ulicy jest impertynencją, któréj się mężczyźni dopuszczają w większych miastach, a że Kraków jest większém miastem, więc dla czegóż się to nie miało zdarzyć w Krakowie?... Panna Izydora wiedziała doskonale zresztą, że takie przerażające wypadki zdarzały się rzeczywiście w pod wawelskim grodzie, że pogoń taka bywała nawet nieraz bardzo uporczywą: osoba ścigana wsiadała naprzykład do omnibusu, ażeby ujść pogoni, prześladowca jéj wsiadał za nią; wysiadała ujechawszy kilkadziesiąt kroków, prześladowca wysiadał także; wchodziła do przechodniego domu, ażeby zmylić trop, ale i nieubłagany natrętnik jak nieodstępny cień wchodził w tęż samą bramę i szedł aż na inną ulicę. Panna Izydora wiedziała o tém wprawdzie ze słyszenia tylko, jéj bowiem saméj nigdy się nic podobnego nie przytrafiło, ztąd jednak bynajmniéj nie wynika, żeby się nie miało kiedyś przytrafić, naprzykład w téj właśnie chwili.

Obawa i oburzenie tak przejęły pannę Izydorę, że o mało jéj nóżki nie wypowiedziały posłuszeństwa.

Faktem jest, że podobnych natrętnych pogoni dopuszczają się jedynie ludzie młodzi. Jeżeli idący w tyle był naprzykład sędziwym starcem, wtedy nie było się czego obawiać, gdyż niezawodnie i jego droga prowadziła w tę samą stronę i nie miał żadnéj złéj intencji.

Lecz jeżeli to człowiek młody, w takim razie — okropność!...

Tak ważnéj i decydującéj okoliczności nie podobna było pozostawić bez sprawdzenia.

Wiadomo z fizjologji, że oczy kobiéce cokolwiek inaczéj są urządzone od męzkich, posiadają pewien dar, którego my mężczyźni nietylko nie posiadamy, ale nawet zrozumieć nie możemy. Kobiéta jeżeli chce widzieć kto za nią idzie, nie potrzebuje się oglądać. i byle miała silną wolę zobaczenia, oraz pewną w tym względzie wprawę, to niezawodnie zobaczy.

Panna Izydora użyła téj własności kobiécego wzroku w celu zrekognoskowania grożącego niebezpieczeństwa, i z przestrachem spostrzegła, że idący za nią mężczyzna był młodym, a nawet, nawet dosyć przystojnym. Wzrok jego i postawa malowały powagę, niby zadumę jakąś... ale to właśnie były najgorsze znaki!... Powaga to wyraźne świadectwo, że nie na żart pogoń przedsięwziął, ale na serjo prowadzić ją myśli... a zaduma!... oh! jakaż otchłań strasznych projektów mogła się maskować dla świata tym wyrazem zamyślenia!...

Położenie było zbyt groźne, żeby można było obojętnie czekać co daléj zajdzie. Gdyby naprzeciw panny Izydory szedł w téj chwili jaki starzec sędziwy, najmłodsza córa szanownego archeologa byłaby niezawodnie przystąpiła do niego prosząc o ratunek w niebezpieczeństwie i opiekę.

Ale niestety, na odległość stu kroków nie było na ulicy nikogo, oprócz nieszczęsnéj panny Izydory i zuchwalca postępującego za nią.

— W biały dzień!... taka zgroza!... — westchnęła nieszczęśliwa, — ależ ja na to pozwolić nie mogę... ucieknę.

I tego pomysłu wykonać nie była zdolną. Wzruszenie tak ją przejęło, że zaledwie zwolna iść mogła. O ucieczce ani myśleć nie było można, a zresztą na cóżby się uciekanie przydało, niby to nieznajomy napastnik nie umié także biedz prędko!...

— Jedyny ratunek, — rzekła sobie w duchu, — będę szła tak powoli, że mnie będzie musiał wyprzedzić... a wtedy... bylem tylko za nim została, to już się niemam czego bać.

Zwolniła rzeczywiście kroku. Nieznajomy szedł daléj tym samym mierzonym chodem i już, już miał ją wyprzedzić, gdy nagle zatrzymał się przed bramą, koło któréj przechodzili właśnie, i zaczął czytać kartę donoszącą o lokalu do wynajęcia.

— Aha!... udajesz że mieszkania szukasz, — pomyślała panna Izydora, — znamy się na tém... teraz muszę przyspieszyć kroku.

Przyspieszyła, o ile na to pozwalało wzruszenie, więc w każdym razie o bardzo niewiele.

Nieznajomy ułatwił się z czytaniem bardzo prędko, i czy to dla tego, że mieszkanie nie było po jego myśli, czy téż że rzeczywiście używał pretekstu, ażeby nie wyprzedzać panny Izydory, dosyć, że po chwili znowu tym samym miarowym chodem zaczął kroczyć za nieszczęśliwą pięknością.

Póki jeszcze stał przy bramie i czytał, panna Izydora mogła zauważyć, że w jego twarzy oprócz powagi i zadumy był jakiś wyraz złośliwy.

— Byłam tego pewną, — pomyślała, — nie ma złośliwszych istot jak mężczyzni.

Taż sama scena powtórzyła się. Panna Izydora zwolniła kroku, ażeby się dać wyprzedzić, ale nieznajomy zatrzymał się przed drugą bramą, znowu się zabrał do czytania karty wynajmu i tym sposobem zniweczył podstęp najmłodszéj córki archeologa.

Raz jeszcze i jeszcze raz taki sam manewr w taki sam sposób bezskutecznym się okazał.

— Bezwstydny i uparty, — powiedziała sobie panna Izydora, — nie ma sposobu go się pozbyć!... Straszny to ród ci mężczyźni...

Piękne czytelniczki, które bezwątpienia myślą tak samo jak najmłodsza z panien Rękalskich, raczą nam wybaczyć, że się w tém miejscu ujmiemy za rodem męzkim. Nie myślimy go bronić... bynajmniéj!... ale poważymy się zwrócić uwagę, że i ród kobiécy niemniéj jest okrutnym od naszego, i jeżeli my dopuszczamy się niekiedy okropnych szturmów do słabiéj albo mocniéj ufortyfikowanych panieńskich serduszek, panienkom także nie brakuje morderczych przeciw nam zamiarów. Ot naprzykład panna Izydora, ledwie dostrzegła za sobą krok w krok idącego mężczyznę, a już szukała w główce sposobu jakby go tu... zgubić na zawsze!...

Bądź co bądź nie udało się jéj, chociaż intencja była szczera, o czém zapewne nikt na świecie powątpiewać się nie poważy.

Mury Babiéj wyspy ukazały się z daleka, w serce panny Izydory wstąpiła jakaś otucha. Nóżki jéj nawet odzyskały straconą rzeźkość, i w parę minut potém znikła w bramie i zapukała do drzwi swego mieszkania.

Panna Teodora i panna Eleonora razem pobiegły otworzyć. (Ciąg dalszy nastąpi).

MILCZĄCÉJ.

Oh! nie mąć ciszy! Nie drżyj, żeś odemnie
Nieodgadniona może, — niepojęta,
Oh! nie mąć ciszy, — nie schodź, moja święta,
Z szczebli ów anielskich w naszéj ziemi ciemnie,
Ja wiem, że pod ust pieczęcią tajemną,
Gra w tobie fala uczucia kipiąca,
Oh! nie mąć ciszy! nie mów, — nie mów ze mną!
Nie płosz aniołów... kochanko milcząca!

Jak lilja byłaś — nim całus wietrzyka,
Nerwy jéj liści poruszy namiętnie,
Jak ziemia byłaś, co w sobie zamyka,
Pożar wulkanów o ukrytém tętnie,
Jak biały obłok latem, nieczująca
Gromów złożonych w twém gazowém łonie,
Byłaś jak harfa, któréj nikt nie trąca;
Kadzidła, ognie i melodji tonie
Budzą się w tobie, — kochanko milcząca!

Zmruż, jeszcze chwilę, — te oczy gazelli,
Świt ledwo wstaje w twojéj piersi sennéj,
Doczekaj cicho — aż ranek promienny,
Da hasło uczuć tryumfalnéj kapeli,
Wpatruj się z dziwem, jak miłości siła,
Z twéj duszy cienie spędza nakształt słońca,
Strzeż, byś roboty pańskiéj nie burzyła:
Wnet już przemówisz — kochanko milcząca!

Prawda, cud jeden za drugim cię wzrusza,
W sercu świątecznie razem i boleśnie,
I, wzrok olśniony przecierając, dusza,
Widzi krainy przeczuwane we śnie.
Twe usta dyszą — omdlewa spojrzenie,
Pierś od poruszeń nieświadomych drżąca,
Pierwsze roskoszne dreszcze i płomienie,
Wstrząsają tobą — kochanko milcząca!

Przy tobiem słyszał drużek twoich wargi
Srebrnemi dźwięki bijące powietrze,
Westchnienia próżne — czcze śmiechy i skargi,
Jak tęcza zmienne — od pajęczyn letsze,
Lecz nad te dźwięczne słów zalotnych tony,
Ja stokroć wolę — kochanko milcząca,
Słuchać, marzenia piersią przytulony,
Pulsu, co białe łono twe roztrąca!

Wł. Ordon.

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

W czasie rozmowy powyższéj rozdzielono w towarzystwie kartki — i ropoczęła się gra piśmienna: zapytania i odpowiedzi. Pióra i ołówki były w robocie. Po chwili rozwijano rzucone do urny pozwijane kartki i wygłaszał treść ich jeden z panów. Zpamiętałam niektóre.

„Czemżeż jest wieszcz nasz, pan Albert Potocki dla kobiet?“

„Kaprysem.“

Pan Albert, czyli Wojciech Potocki — ulubieniec ówcześnie salonów — napisał był wiersz ładny, Kaprys, który w świecie eleganckim podobał się bardzo, mianowicie téż paniom.

„Jakaż jest różnica pomiędzy panią Klementyną Tańską, a panią Z.?“

„Pierwsza po żyznéj, rodziméj chodzi niwie — druga po czczém buja powietrzu.“

— Odpowiedział znać jakiś antagonista systemu uczonéj autorki! zawołał pan Franciszek Gąsiorowski.

— A ja pewniebym odgadł — poszepnął znakomity autor Pamiętników o królowéj Barbarze, i z uśmiechem rzucił ukośne spojrzenie na jednego z redaktorów.

„Czém jest śpiew?“

„Gimnastyką głosu.“

„Czy wdzięczność jest cnotą?“

„Oui, grâce aux ingrats!“

Gdy tę francuzką przeczytano odpowiedź, niepośledni zrobił się harmider. Odgadnięto autora — i musiał zaraz odpowiedź swoją w polskich położyć słowach.

— Jeszcze prosimy o parę arkuszyków papieru! wymówił dzwięczny głosik przy stoliku, gdzie siedziały panienki. I pan Józef Lewocki z świeżym przydążył zapasem.

— Arkuszyki! Arkusz! zagadał pułkownik Paszkowski — a słyszeliście już państwo jaką to etymologią senator Starynkiewicz temu wyrazowi nadaje?

— Nie, nic nie wiemy! ozwano się w koło.

— A prosimy szanownego pułkownika o tę wiadomość — dodał redaktor Przeglądu naukowego.

— Otóż twierdzi on, że pierwsze arkusze papieru, jako wynalazek giermański, z Niemiec do Polski przywiezione zostały. Szlachcic jakiś, biorąc z nich jeden do ręki, zapytał ciekawie: „Was ist das?“ — Niemiec odpowiada: „Ein Bogen Papier.“ — Szlachcic nie zrozumiał, więc daléj do dykcjonarza niemiecko-łacińskiego. Szuka Bogen, i czyta: Arcus. Potém papyrus. I ztąd nazwa arkusz papieru powstała.

Rozśmiali się jedni — drudzy czoła pomarszczyli.

— Dowcipny Moskal! — rzucił ktoś z boku półgłośnie.

— A zawsze kosztem naszym — dodał ktoś drugi.

Podano właśnie powtórną serją kartek.

Zebranie rozeszło się po północy.

Pierwszy ten piątek tak ukołysał mnie mile i pole wdzięcznych ukwiecił marzeń, żem téj zimy rzadko upuściła który.

W dni parę po tym pierwszym dla mnie piątkowym wieczorze, przyszli do nas redaktorowie Przeglądu naukowego. Obadwaj, posłyszawszy o wierszu do Kraszewskiego, Wojciecha Potockiego, żałowali, że go nie słyszeli — bo byliby się odezwali. Zwłaszcza téż Skimbrowicz, od serca przyjaciel i gorący wielbiciel autora Świat i poeta. Zebrał był właśnie swoje Piśmiennictwo krajowe — z którego dochód przeznaczył na postawienie pomnika Antoniemu Malczewskiemu na Powązkach. — Widziałem ten pomnik późniéj u kamieniarza, przy cmentarzu powązkowskim. Jest to niby odłam skały, czworobocznéj, ale nie całkiem foremny. Od góry, na prawo, przez łupanie kamienia utworzyło się jakby godło opatrzności wśród chmury Poniżéj wyryto skromny napis: Autorowi Marji. Leżał u kamieniarza bo nieodszukaną dotąd była mogiła wieszcza. Dziś już można go widzieś na cmentarzu — ale czy istotnie na grobie wieszcza, któż to wie?! — Nieznana ręka poetycznym uniesiona zapałem, nakreśliła na kamieniu ołówkiem:

Autorowi Marji napis i dość na tém,
Lecz Polska, jak jest cała, potrząsła go kwiatem.

Pani Lewockiéj ofiarował Skimborowicz egzemplarz Piśmiennictwa z przypiskiem — i przeczytał nam uprzejmy jéj liścik z podziękowaniem za ten upominek przyjazny. — Był on z nader wielkim szacunkiem dla domu państwa Lewockich — tak samo i Edward Dembowski.

Ten ostatni był dziwnie smutny dnia tego, zamyślony, znękany i blady. Zapytałam go przychylnie o przyczynę.

— Och, pani! odrzekł — urodziłem się z wyrytym na czole mojém stygmatem: Męczennik.

W duszy jego i sercu szlachetném zawsze bolała Polska. — I to przeczucie smutnéj doli własnéj — ofiarowanéj — odzywało się w nim często.

W kilka miesięcy potem napisał mi także w Albumie:

„Kreśląc ci, Pani, myśl moją w téj chwili — cóż napisać mogę więcéj — szczerzéj — nad obraz własnéjże myśli? — Otóż porównanie ją objawi: Jest burza, słota, wśród morza, w głębinie strzaskana — niejedna łódź ginie — bo grom żywota nie szczędzi nas. My giniem — Ty zostaniesz. — Twój bieg spokojny i czysty — jak łza współczucia. Twa dusza — to łza, lecz łzą jest nadziei — bo Jutrznią jest nowych torów. —

O płyń — dąż — nie ujrzę Cię w mym biegu — bo gdy Ty blizka celu, blizka zbawień brzegu — jam w myśli dziedzinie zbłąkan - więc ginę...

Edward Dembowski.“

W czerwcu r. 1843 widziałam go po raz ostatni. Przyszli do nas oboje — z panią Anielą. Mówiliśmy wiele — a ubolewali nad wszystkiem.

W końcu lipca — podobno — wbiegł do nas profesor D. — August był w redakcyi Dziennika powszechnego.

— Wie pani co się stało? — A czytałam przerażenie w jego twarzy.

— Cóż takiego? — zadrżałam.

— Aresztują, w Lublinie, na prowincyi, tutaj... Edward Dembowski z żoną już są za granicą szczęśliwie. A z niemi i Roman Zmorski.

I wymienił jeszcze nazwisk kilka.

W pamiętnym — aż nadto pamiętnym roku 1846 — padł Edward Dembowski bohatyrsko na Podgórzu — wychodząc na czele poświęcającéj się młodzi, dla powstrzymania rzezi w Galicyi. Padł wystrzałami au-

stryackich ugodzony żołnierzy — zasiekany — jako męczennik! — Przeczucie jego, niestety, spełniło się aż nadto prędko!

Odznaczała go zawsze, może zbyt wrząca dusza — ale zarazem i chęci najszlachetniejsze, zdolność, zamiłowanie pracy, serce poczciwe — i gorąca miłość kraju.

Miotany ciągle walką wewnętrzną, nigdzie spokoju znaleść nie mógł.

Pani Katarzyna z Lipińskich Lewocka, żona wizytatora szkół w Królestwie Polskiém, była córką majora b. wojsk polskich, a siostrą Tymoteusza, profesora, spółautora Starożytnéj Polski. Urodziła się w Muraffie na Podolu ruskiém. Po śmierci ojca bawiła czas jakiś w domu księżnéj Sapieżyny, mieszkającéj we własnym pałacu w Warszawie Stryj jéj Józef, także wizytator szkół, i członek b. izby edukacyjnéj, zostawał w ścisłych stósunkach z Czartoryskiemi, Zamojskiemi i Potockiemi — z których Stanisław był jego ministrem. Ztąd i pani Lewocka bywała w tych domach jako panna, a następnie i jako mężatka. Przechowała stósunki z książecemi dziedzicami Puław, i można było członków téj rodziny w jéj spotykać salonie.

Jnlian Ursyn Niemcewicz był jéj wielkim przyjacielem. Trzymał do chrztu syna Józefa, i zrobił mu zapis w testamencie.

Napisała mnóstwo książeczek, służących dla młodzieży i biednéj klasy, szczególniéj rzemieślników: Powieści moralne dla dzieci; Jeszcze jedna powiastka, ofiarowana (1840) na dochód sali ochron; Powieści starego sługi; — Głos ubogiéj matki do córki, udającéj się w służbę; Bal w resursie; Domek na Topielcu; Kacper owczarek, sztuka dramatyczna, z prawdziwego napisana zdarzenia; Formalista, czyli czarno na białem, przysłowie w scenach, drukowane w Przyjacielu ludu 1839; Obiad u Mary'ego. W Kółku domowém, zajmujący opis niespodzianek sprawionych Niemcewiczowi w Willanowie przez grono kobiet, do którego sama należała — i bytność ich u niego w Ursynowie. — Nadto podawała artykuły do Pielgrzyma — Piśmiennictwa krajowego — Gazety porannéj, Pierwiosnka itd.

Wiszniewski w przedmowie do trzeciego tomu Piśmiennictwa swojego, wspomina o niéj zaszczytnie.

Od lat najmłodszych wiązała ją przyjaźń z Klementyną z Tańskich Hofmanową i ta ostatnia napisała dla jéj córki, Wiązanie Helenki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

William Ewart Gladstone.

(Dokończenie).

Zmiana ta przekonań wywołała krzyki niezmierne, i ściągnęła nienawiść torysów na „zdrajcę" jak go nazywali. Nie było potwarzy, którejby na niego w czasie ostatnich wyborów nie rzucono. Sam on zresztą musiał czuć że krok jego może się wydawać dziwnym, bo zeszedł aż do tłumaczenia się i wydał małą broszurkę p. t.: Rozdział z autobiografji z dewizą: „nie gańcie niewysłuchawszy, nie sądźcie niezrozumiawszy."

I tłumaczenie to było potrzebne. Nikt zapewne nie posądza Gladstona o zmianę przekonań w celach osobistych, nikt charakteru jego podejrzywać niemoże, ale i to prawda, że rzadko mąż stanu w takiéj był sprzeczności, przynajmniéj pozornéj sam z sobą jak dzisiejszy naczelnik rządu angielskiego.

Nieszczęściem jego i słabością było, że niepoprzestając na laurach męża stanu chciał jeszcze sławy publicysty. Wadę tę, dzieli on z wielu swymi przyjaciołmi i rywalami. Lord Derby tłumaczy Iljadę. Dizraeli pisze polityczne romanse. Gladstone pisał wiele rozmaitych rzeczy. Ale najgłośniejszem jego dziełem w swoim czasie była książka p. t.: „Stosunek państwa do kościoła", napisana jeszcze w 1839. roku W dziele tem dzisiejszy reformator występuje jako zacięty ortodoksista i nieprzyjaciel wszelkiéj tolerancji. Zdaniem jego państwo powinno protegować kościół; innowiercy nie powinni być dopuszczeni do urzędów, rząd nie powinien opłacać ani duchowieństwa ani szkół innowiernych, a natomiast popierać religijną propagandę anglikańskiego kościoła. Słowem dzieło to, które się ukazało po emancypacji katolików, było wtedy już anachronizmem ultra-wstecznym, i zdruzgotane zostało pysznym artykułem Macauley'a.

Dziś tymczasem oto, ten namiętny obrońca kościoła państwowego zadaje mu cios śmiertelny w Irlandji!... Dawny torys tak wymownie jeszcze w 1851 broniący praw małych mieścin, dziś przemawia za reformą wyborczą. Gladstone tłomaczy się z tego otwarcie i szczerze. Zmiana nienastąpiła od razu ale zwolna i stopniowo. Pisząc swe dzieło, autor był przekonany że kościół anglikański ma w sobie siłę przyciągającą, zdawało mu się, że potrafi nawrócić Irlandję, zabsorbować angielskich heretyków. Przekonał się, że jest inaczéj. W Irlandji anglikanizm coraz więcéj stawał się nienawidzonym, w Anglji wielu najznakomitszych ludzi przechodzić zaczęło na katolicyzm.

Bystrość i praktyczność męża stanu wzięły górę nad teokratycznemi pojęciami myśliciela.

Jakoż w Gladstonie zdają się istnieć dwie natury, dwie dusze niejako. Jedna kontemplacyjna, filozoficzna lubi zagłębiać się w dysputy teologiczne, i z niechęcią spogląda na wszelki postęp ludzki, na wszelkie wyzwolenie; druga, dusza męża stanu i człowieka praktycznego z rzadką bystrością pojmuje prąd wieku, dążenia opinji publicznéj. konieczności chwili, i umie nietylko zgodzić się z niemi, ale na ich czele stanąć. Walka między dwiema naturami temi, skończyła się zwycięztwem człowieka czynu nad myślicielem. W młodości swéj, więcéj pisarz jak mąż stanu, Gladstone był reakcjonistą, później, w miarę rozszerzania się zakresu czynnego życia, stawał się coraz więcéj liberalnym i postępowym.

Zwrot ten rozpoczął się już w 1844. r. a odtąd coraz widoczniejszém się stawało że ulubieniec torysów porzuci ich szeregi niedługo.

Choć już w 1853 r. Gladstone występował po raz pierwszy jako minister finansów, wpływ jego jednak i właściwa czynność rozpoczynają się dopiéro ze śmiercią Palmerstona, i odtąd też polityka Anglji wewnętrzna i zewnętrzna na nowe schodzi drogi.

Od lat już kilkunastu wrzała w tym kraju silna agitacja, kierowana przez Cobden'a, Brigth'a, Baine'a celem wymuszenia reformy wyborczéj w myśli dopuszczenia do wyborów klasy robotniczéj i zwiększenia ilości doputowanych z miast.

Agitacja ta tak była silna że ministerstwo lorda Russel już w 1851. r. musiało podjąć tę sprawę i stosowny bill przedstawić. Odtąd też, przez lat czternaście

rok w rok prawie (z wyjątkiem czasów wojny krymskiéj) każde ministerstwo tak wigów jak torysów udawało że się niby zajmuje tą reformą. Była to jednak czysta komedja, odgrywana jedynie dla zamydlenia oczu narodowi.

Dopiéro Gladstone i Russel po śmierci Palmerstona wzięli się do téj reformy szczerze i na serjo. Bill jednak przez nich przedstawiony upadł i ministerstwo podało się do dymisji. Przyczyną téj klęski miała być zdrada pewnéj frakcji radykalnych, a jak inni twierdzą, zbyt rozkazujący ton Gladstona.

Dzięki jednak upadłemu ministerstwu reforma ta tak weszła na porządek dzienny, tak się stała potrzebą publiczną, że niechętny jéj Dizraeli, mimowoli musiał ją sam przedłożyć.

Jakkolwiek więc formalnie tego ostatniego imie służy za chorągiew reformie wyborczéj, w rzeczywistości jednak zawdzięcza ją Anglja kilku innym mężom a między nimi Gladstonowi.

Jakoż odbyte, na mocy nowego prawa, wybory dały większość liberalną i tém samém władzę dzisiejszemu ministerstwu.

Jeszcze przed objęciem teki, jeszcze w czasie wyborów, Gladstone wywiesił program postępowy i zapowiedział że żądać będzie sekularyzacji kościoła anglikańskiego w Irlandji.

Jest to także reforma naruszająca w samych podstawach stary gmach angielskiéj budowy, ale reforma konieczna i sprawiedliwa.

Na nieszczęśliwéj wyspie Erynu, gdzie ogromna większość ludu jest katolicką, duchowieństwo anglikańskie posiadało olbrzymie dobra, wielkie dziesięciny, prawo sądów. Naród opłacać musiał duchownych obcego wyznania, a prócz tego swoich własnych księży.

Nowa reforma redukuje duchowieństwo anglikańskie do liczby koniecznéj, znosi wszelkie ciężary i przywileje niesłuszne, ziemie zaś i dochody przeznacza na cele użytku publicznego.

Z początku krzyk był w Anglji niezmierny. Torysi i duchowieństwo obrzucało Gladstona piętnem zdrajcy, odstępcy, papisty, demagoga, uczone ciało Oxfordu, odmówiło mu swego głosu, ale większość opinji objawiła się za nim i bill przeszedł.

Po tém zwycięztwie reformator angielski zrobił krok trzeci najzuchwalszy może. Znane są powszechnie smutne stosunki rolnicze w Irlandji. Cały ten kraj prawie, skonfiskowany za czasów Cromwela, podzielony został między arytokrację angielską. Irlandczycy zeszli na dzierżawców drobnych, na fermierów. Chciwi właściciele, rzadko mieszkający na miejscu, z biedaków tych wyciskali grosz ostatni co rok podnosząc czynsz dzierżawny, wyrzucając jednych, sprowadzając innych. System ten zgubny zarówno dla gospodarstwa narodowego jak i dla nieszczęsnych dzierżawców, sprowadził najsmutniejsze następstwa: zubożenie, upadek dobrobytu, olbrzymią emigrację i wyludnienie, nienawiść warstw między sobą i liczne bardzo zbrodnie agraryjne.

Wszystko to zaś ześrodkowało się i odbiło w spisku znanym powszechnie pod nazwiskiem Fenianizmu.

Mimo krzyków i hałasów, Gladstone pojął że na taką chorobę trzeba lekarstwa radykalnego, że tu szubiennice, deportacje, repressja nic niepomogą, że trzeba sięgnąć do dna choroby żeby ją uleczyć.

Na początku więc roku bieżącego przedstawił i przeprowadził w izbie niższéj bill reformy. Bill ten ustanawia sądy polubowne o dwóch instancjach dla sądzenia spraw między dziedzicem i dzierżawcą, oznacza w wielu razach maximum czynszu jakiego właściciel ma prawo żądać, zapewnia dzierżawcy wynagrodzenie za poczynione wkłady i ulepszenia, wreszcie zapewnia stowarzyszeniom dzierżawców, chcących na własność nabyć grunta pomoc rządową tytułem pożyczki.

Bill ten wywołał bardzo gwałtowne i do pewnego stopnia słuszne krytyki. Rzeczywiście depce on prawa własności i zasady ekonomji politycznéj pozwalając rządowi mięszać się między strony prywatne, biorąc w opiekę jednę z nich, ścieśniając osobistą swobodę.

Anglicy jednak, natchnieni zwykłym sobie praktycznym rozsądkiem, poświęcili abstrakcyjne teorje dla konieczności oczywistéj.

Ciekawe są, nauczające, a często prawdziwie piękne mowy, jakie Gladstone w obronie tych trzech wielkich reform powiedział Nie odznaczają się one wprawdzie lekkością i zgrabną ironją jak mowy Dizraelego, nie mają téj soli zwanéj humour, którym Palmerston cudów dokazywał, ale w każdéj z nich znać głęboką znajomość przedmiotu, siłę przekonania, i wysokie poczucie godności, oraz szeroki i szlachetny pogląd na społeczne prawa i obowiązki. Słabą ich stroną jest brak panowania nad sobą, brak często taktyki parlamentarnéj i pewna szorstkość, wzbudzająca szacunek w czytelnikach, ale dająca przeciwnikom łatwe do zaczepki pole.

Szczupły, na pozór słaby, o czole pooraném i wyłysiałém, o oku pełném ognia ale zapadłém, o twarzy zmiętéj i zmarszczonéj, człowiek ten noszący na sobie ślady olbrzymiéj pracy i ogromnych trudów, jest jednak pełen energji i sił. Głos jego silny, dźwięczny, harmonijny nie ma śladów znużenia nawet po trzy lub czterogodzinnéj mowie o frazesach okrągłych, długich, harmonijnych. Jako minister finansów jest niezawodnie najpierwszym dziś w Europie, tak ze względu na teorje i zasady, jak na ich praktyczne przeprowadzenie. Motywa jego budżetów, zwykle wykazujących przewyżkę dochodów, czytać można jak powieść najbardziéj zajmującą. Pod jego ręką cyfry nabierają życia, wyrazu, charakteru. Każde twierdzenie usprawiedliwione nieskończoną liczbą argumentów i nieznanych szczegółów, które zdumiewać się każą nad kolosalną tego człowieka znajomością wszystkich kwestji handlowych, przemysłowych, ekonomicznych.

Pamiętne jest między innemi jego usprawiedliwienie projektu znoszącego podatek od papieru.

Zresztą po nad szczegółami temi góruje zawsze zasada ogólna, zdrowa, praktyczna, która go prowadzi nie do zbywania bieżących potrzeb, ale do kładzenia podwalin przyszłemu dobrobytowi narodu.

Prezes gabinetu londyńskiego nieustaje w pracy ani na chwilę. W czasie ostatniéj sesji zapowiedział on niektóre z licznych kwestji które podnieść zamierza jako to: rozszerzenie wykształcenia elementarnego rewizję prawa o ubogich, uproszczenie machiny administracyjnéj, przegląd kodeksów przepełnionych niejasnościami.

Dodać tu jeszcze należy że Gladstone jest zwolennikiem wolnego handlu i jednym z twórców przymierza handlowego z Francją. Śmiały ten jednak reformator, człowiek który popchnął ojczyznę swoją na drodze postępu bardziéj jak którykolwiek z jego poprzedników, nie jest jednakże bynajmniéj rewolucjonistą. Broń Boże! Wyżéj już nadmieniliśmy że dawniéj wsteczny, torys, a nawet teokrata, do dziś dnia jest on w gruncie konserwatystą. Jakoż w reformach nawet tak radykalnych zachowuje on zawsze niezmierną ostrożność, a jednym z jego ulubionych aforyzmów jest: „że najmędrsze prawodawstwo jest to, które działa z powolnością sił natury, i niewyprzedza ducha epoki ale idzie krok w krok za nim.“

Czy jednak ten mąż znany, szlachetny, w każdym razie znakomity, i którego Anglja postawi obok Pitta, Walpoola, Peela i innych, przy tylu zasługach niewyrządzi jéj ciężkiéj krzywdy i przyszłéj potęgi niepodkopie, to jeszcze pytanie wielkie. Gladstone bowiem jest wyznawcą a razem jednym z naczelników szkoły

manchesterskiéj, która w politykę zewnętrzną Anglji wprowadziła zasadę bezwarunkowéj nieinterwencji i pokoju coûte qui coûte. Dzięki swemu położeniu i bogactwom, Anglja dłużéj, jak inne państwa może znosić politykę taką, ale w rezultacie musi ona ją doprowadzić do zupełnéj bezwpływowości, a zarazem zdemoralizować ducha narodu i jego siły odporne rozstroić. Historja więc dopiéro pokaże, czy p. Gladstone więcéj złego, jak dobrego, czy przeciwnie ojczyźnie swéj wyrządził.

J. N.

RADA.

„Daj całusa!" — Nie mogę!
Białéj lilji się wstydzę...
„Skoszę lilję niebogę,
Na zielonéj łodydze!"

— Choćby padła skoszona,
Ptaka w gaju się wstydzę! —
„Strzelę w ptaszka, niech skona
Na zielonéj łodydze!"

— Choćby upadł zabity,
Wód strumienia się wstydzę! —
„Zmącę wodne błękity,
Toć nie próżno się biédzę!"

— Choćbyś poniósł trud wszelki,
Zawsze siebie się wstydzę...
„Przymknij oczu węgielki,
Albo powiedz: nie widzę!"

Kraków 9. VIII. 70.

Wacław Pomian.

Korespondencja ze Lwowa.

Lwów, 2 stycznia 1871.

Z prawdziwą przyjemnością biorę pióro do ręki, by odpowiedzieć na zaszczytne wezwanie wasze i przesłać wam słów kilka z nadpełtwiańskiéj stolicy naszéj prowincji. A naprzód niech mi wolno będzie wyrazić wam serdeczne życzenie w zawodzie trudnym, którego podjęliście się dopełniać, rozbudzenia życia i ukształcania serc i umysłów... Niech wam Bóg dopomaga!

Oj trudne to zadanie wydawać pismo. Gdyby to chodziło tylko o umiejętną redakcję, zadanie byłoby daleko łatwiejszém, ale gdy nieraz publiczność z zimną obojętnością przypatruje się usiłowaniom redakcji i poszukuje tylko, aby wynaleść jakie wady w piśmie, aby miała co ganić, a redakcja zostaje pozbawioną materjalnych środków, to już trudność zwiększa się, współpracownicy opuszczają, ręce opadają i.... pismo przeciąga jeszcze czas jakiś suchotniczy żywot, aż umrze.

Właśnie u nas w Galicji takie eksperymenta widzieć można bardzo często. Mamy dzienników dużo, bynajmniéj nie za wiele, jak na prowincję liczącą pięć miljonów mieszkańców, ale za wiele, jak na liczbę czytelników téj prowincji, która w żadnym razie pięciu tysięcy niewynosi. To téż trudno u nas o dziennik żyjący naturalném życiem. Jeszcze pisma polityczne wegetują jakoś, chociaż oprócz Gazety Narodowéj i Czasu żadne nie jest pewném jutra, ale natomiast pisma literackie bardzo chromieją. W początkach roku bieżącego mieliśmy kilka pism literackich; z tych już wszystko powymierało, a pozostały tylko: Mrówka, która zapowiada od Nowego Roku wydawnictwo tygodniowe i Strzecha, pismo nieperjodyczne, wychodzące mniéjwięcéj co miesiąc. Strzecha jest przeważnie pismem zbiorowém, gdyż nie zamieszcza wcale sprawozdań z życia, z ruchu bieżącego, same tylko prace większe, ale zato po większéj części bardzo cenne, redakcja stara się o utwory najznakomitszych pisarzy polskich. Mrówka zaś przyjmuje charakter właściwego tygodnika i zamierza przeważnie zajmować się chwilą bieżącą, a zlanie się z nią Dziennika literackiego wkłada na redakcję Mrówki obowiązek sumiennego i gorliwego przeprowadzenia tego zadania. O ile wiemy, jeden z najznakomitszych współczesnych pisarzy objął kierunek tego dzieła i można się spodziewać, że Mrówka odpowie zadaniu należycie.

Tak Strzecha, jak i Mrówka są pismami illustrowanemi; ta tylko między niemi zachodzi różnica iż pierwsza daje mniéj illustracji, druga więcéj, zresztą obie są starannie illustrowane i wydawcy nie żałują kosztów na ich podniesienie, szkoda tylko że u nas we Lwowie nie ma ani jednéj drukarni, któraby potrafiła należycie drzeworyty odbijać. To téż żal patrzeć, jak tak wielkie koszta, jakich wymagają drzeworyty, są zmarnowane przez niesumienność naszych drukarzy.

Do pism illustrowanych zaliczyć tu także potrzeba Opiekuna polskich dzieci, bardzo starannie redagowanego przez profesora Aleksandra Kisielewskiego, które warto, aby i u was poznano.

Zresztą śmiertelność dzienników w 1870 roku była u nas tak wielką, że i niewiele co więcéj da się o nich powiedzieć. W Krakowie Kalina, Kwiaty i Kurjer zaprzestały wychodzić, we Lwowie Dziennik literacki i Towarzysz, nie mówiąc już o efemerycznych, których żywot był bardzo krótki: nie wychodzą już Kurjer, Gmina, Chata i Dziewica, a byt Szkoły nawet zachwiany, pomimo iż ma subwencję. Mamy tu i takie pisma, które tylko czasami wychodzą, jak Gwiazda, Przyjaciel domowy, Gazeta wiejska i Przegląd polityczny, przez zasłużonego w zawodzie wydawniczym H. Stupnickiego wydawane, ale które nie mają dziś racji bytu i swą egzystencją tylko szkodzą wydawnictwu, ponieważ robią zawód czytelnikom. Tak naprzykład Przegląd polityczny istnieje tylko nominalnie, ma nawet prenumeratorów, a nigdy żaden numer jeszcze nie wyszedł, toż Gazeta wiejska od dziewięciu miesięcy nie widziała światła dziennego.

Za dużo się rozpisałem o dziennikarstwie i zaledwie będę mógł dotknąć niektórych innych kwestji, wszakże nie od razu Kraków zbudowany, a mam nadzieję, że mi nie odmówicie stałego kącika w waszém piśmie, więc się uzupełnię z czasem.

Wspomnę tu tylko nawiasowo o dwóch amatorskich przedstawieniach na korzyść młodzieży uniwersyteckiéj i akademji techniczéj urządzonych. Przedstawienia te powiodły się bardzo dobrze. Publiczność przepełniła teatr, a nasz teatr jest nie mały. Szkoda tylko, że od każdego przedstawienia potrzeba było płacić haracz dyrekcji teatru niemieckiego po 200 fl., gdyż dyrekcja teatru niemieckiego z powodu ospałości naszego sejmu, gospodaruje we Lwowie tak jakby to było w Monachjum lub Berlinie.

Mieliśmy także małe nieporozumienie na wykładach dla płci pięknéj. Wykłady te urządzone są w roku bieżącym tak, jak i w latach poprzednich, a zawsze przy drzwiach zamkniętych dla brzydkiéj połowy rodzaju

ludzkiego. Złośliwi już oddawna powiadali iż wstęp mężczyznom a zwłaszcza sprawozdawcom dziennikarskim, którzy lubią wszędzie się wcisnąć, jest dla tego zakazany aby profesorowie mogli sobie swobodnie postępować, nie krępując się wcale wymaganiami nauki. To téż mówiono dziwne rzeczy o tych wykładach, że częstokroć profesorowie wykładali przedmioty, o których sami wyobrażenia nie mieli, lub po prostu posiłkowali się podręcznikami jakie im wpadły przypadkowo pod rękę. Czy tak było, nie wiem, ale również nieraz słyszałem od słuchaczek, którym nieśmiałbym niedawać wiary, że panowie profesorowie bardzo niedołężnie przedmioty traktują. Owoż w ostatnich czasach jedna ze słuchaczek napisała list do Dziennika polskiego, w którym rzeczywiście zarzuca profesorom wszystko to co powszenie mówiono od dawna na mieście i także uważa wzbronienie wstępu mężczyznom jako obawę przed krytyką. Po wydrukowaniu tego listu profesorowie uczuli się obrażonymi i... pozwolili na wstęp mężczyznom? Gdzie tam, przeciwnie, wstrzymali się od wykładów dopóki słuchaczki na wyraźne żądanie profesorów nie zaniosły publicznego przeproszenia i zbiorowéj prośby o dalsze wykłady. Może to trochę komiczne, ale jak na Lwów ujdzie. W każdym razie spodziewać się można, że w roku przyszłym już wykłady będą lepsze, a więc i wstęp mężczyznom na wykłady będzie dozwolony.

K. S.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Dalibóg, że popsuje się do szczętu, jeżeli dłużéj będę dzierzył kronikarskie berło. Demonik sławy już mi dokuczać zaczyna. Ledwo mnie ktoś drukiem pochwalił, a już laury Jules Janin'a, patrona feljetonistów spać mi nie dają. A nuż!... Majaczy mi przed oczyma ta chwila, kiedy zasiadłszy na wygodnym fotelu, po doskonałym obiedzie, pełen wewnętrznéj ciszy, brylantowe okresy na papier Tygodnika rzucać będę. Dla czegoż by nie?... Miejsce opróżnione. Po Wacławie Szymanowskim, którego kronikarska śmierć czytelników „Tygodnika Illustrowanego“ rozczula, zuchwałym nadziejom otwarła szerokie pole. — Ale precz z pychą! kto wié jakie tam groty na moją głowę po bożych kuźniach się kują. Mam złe przeczucie. Nic dziwnego, z nowym rokiem trzask różnych śmierci i upadków mógł się odbić smutném echem w przeklętéj literaturą duszy.

* * *

Ledwo uprzątnięto z areny ciepłe jeszcze ciała Kaliny, Nowin, Mrówki z Wawelu a już nowy bojownik na piasku się kładzie. Dziennik literacki godny lepszego losu, po kilkoletniéj poważnéj i wytrwałéj pracy, z braku prenumeratorów umiéra. Na szczęście duch jego, — pozgonną mêtampsychozą, przechodzi w piersi Mrówki, która odtąd, nie zmieniając imponującego, formatu z podwójném bogactwem artykułów wystąpić będzie mogła. — Szczęśliwy, kto ma w rezerwie nowe życie, wykwitające z mogiły dawnego, szczęśliwszy, komu jak p. J. I. Kraszewskiemu na pierwszą skargę okrzyk przyjaciół i zwolenników odpowiada. — Tydzień wychodzi. Te kartki pracowite na których zbierają się cyfry do przyszłych rachunków z duchem narodu, da Bóg, długo jeszcze na pożytek prawdzie zapisywane będą.

Niedawno, bo w ostatnich numerach przeszłego roku oddał Tydzień nową przysługę krajowi podnosząc kwestję restauracji grobów na Wawelu. — Już poczęto pokrywać milczeniem ten święty obowiązek, spełnienie którego niedawno jeszcze wszystkie umysły zajmowało. Po opędzeniu kosztów odnowienia pomnika Kazimierza Wielkiego, pozostało jeszcze z sumy składek 700 złr. Rozmaicie też o użytku téj sumy rozprawiano. Nareszcie wniosek prof. Łepkowskiego, postawiony na zebraniu towarzystwa nauk krakowskiego, zdecydował użycie tych pieniędzy na odświeżenie Wawelskiego cmentarza. Zdawało się, że ocean słów wysechł. Gdzie tam! Namiętne gadulstwo zrobiło znowu z téj kwestji temat rozpraw i narad nieskończonych. Czy ci krasomówcy czekają, aż odpadające blachy z trumien odkryją kości królów?! — Oddajemy nasz głos Dziennikowi Poznańskiemu.

* * *

Już to zdaje się, że szał parlamentarny wypędził precz z Galicji wszelkie uczucie. Niedawno korespondent z Krakowa do Dziennika Poznańskiego jęknął nad tą suchością serca Galicjanów, któréj ofiarami są niestety nawet biedni tułacze nasi. W téj chwili mamy przed sobą wiersz nadesłany nam z głębi Rusi galicyjskiéj, którego niezręczność i prostota z tém większą prawdą oskarzają. Ani pracy, ani miłości nie ma dla téj nieszczczęsnéj emigracji, która z pomiędzy swoich, musi do obcych przed głodną śmiercią się chronić...

— „Bywajcież więc nam zdrowi, spokojni na wieki,
Chociaż nam obca ręka już zamknie powieki,
Chociaż nam w cudzych ziemiach przyjdzie złożyć kości,
My wam złe przebaczamy — my nie mamy złości,
My będziem błagać Boga, by wam szczęścił w chacie,
By wam serca powrócił — bo wy serc nie macie.“

Tak pisze autor powyższego wiersza, z wyrazistą goryczą i smutkiem.

* * *

Na szczęście, opinija suchości serc galicyjskich, nie rozciąga się na całość narodu. Rozczulającym tego dowodem jest piękny adres pań z Grenobli do kobiet naszych, ogłoszony w Dzienniku. Dziwna wzniosłość jest w tych rękach wyciągniętych przez mgłę przestrzeni — w tém zaufaniu w poczucie solidarności i sympatji dla nich pomiędzy Polkami. Myśli podobne rodzą się nie w głowie, ale w sercu. Sercem na nié odpowiedzieć potrzeba!...

* * *

W pośród posuchy ogólnéj, ukrytego smutku i latającéj nudy — myśl czepia się z przyjemnością każdego poetyczniejszego objawu, każdéj rzewniejszéj treści. Rzadkô w tece kronikarskiéj znajdzie się materjał na rozbudzenie podobnych wrażeń. — Tém rzadziéj w skrzynce do listów. A przecież pod stosem skarg, napomnień, przestróg, komunałów, odesłanych egzemplarzy, których nawet gratis bojaźliwa kieszeń szanownych obywateli przyjąć nie chciała, z radosnym okrzykiem dokopaliśmy się listu, w którym jakaś zacna dusza, z górnego Szląska, broniąca się nabożnie germanizmowi, tak przemawia: „Zapisuję się na Tygodnik Wielkopolski, z którego pragnę mieć wiadomość o mojch kochanych wiadomościach Narodowych Polskich, nie chcąc być do ostatka przygniecionym niemczyzną, jak to wielu innych moich współrodaków, zapierając się swojéj Narodowości, zkąd nie są Niemcami ani Polakami, tylko przygłuszonym ciemnym ludem.“ Zachowaliśmy umyślnie styl i ortografję. Broń się, broń do ostatka, zacny bracie i my pomagać ci idziemy!

* * *

Nowy rok został rozpoczęty w teatrze poznańskim, wierszem pana Władysława Ordona wygłoszonym przez dyrektora p. Nowakowskiego. Cząstkę nadziei w nim zawartych powinna dyrekcja wziąć dla siebie. Oto

rok wkrótce minie, rok jéj wytrwałéj, źle ocenionéj pracy. Dziś wróżby są najlepsze. Dowiadujemy się, że rocznica istnienia teatru uroczyście obchodzoną będzie. Dowiadujemy się także o przypadającym 11 stycznia b. r. benefisie p. Doroszyńskiéj. Przyjemna i utalentowana, osobliwie w rolach żywych artystka, zda się nam, że może liczyć na liczne w owym dniu zebranie, tém bardziéj, gdy wybrana sztuka: Stary Kapral, Napoleończyk, ma za sobą ciekawe tło wypadków 1812 roku i wdzięczną muzykę Stanisława Dunieckiego, autora „Paziów Królowéj Marysieńki.“

* * *

Duch ofiarności rośnie w naszéj prowincji. Dnia 4 b. m. objawił on się znowu na zebraniu komitetu, który urządził wystawę kościańską. Zgromadzenie rozpoczęło od pięknéj mowy p. Konstantego Sczanieckiego i złożenia b. prezesowi komitetu p. Stanisławowi hr. Czarneckiemu misternéj srebrnéj zastawy, w dowód czci i uznania, a zakończyło, pod szlachetném natchnieniem chwili, składką 1200 tal., które jako fundusz żelazny, szkole żabikowskiéj przekazano.

* * *

Po ukończeniu téj kroniki dochodzi nas wiadomość, paraliżująca moje pióro. Sędziwa pani Anna z Krzyżanowskich Niegolewska, wdowa po okrytym laurami Samosierry pułkowniku, umarła. Bóg wydziera nam powoli te święte postacie prababek — na których cały wiek cnoty i świętości się wypisał. Z każdą taką śmiercią cząstka narodowéj tradycji zsuwa się pod ziemię. Niech litość boża spłynie na smutek pozostałéj rodziny, — dla dzieci naszych wspomnienie zmarłéj matrony będzie piękną legendą!... *W.*

Czwartoroczne sprawozdanie z czynności Biblioteki Polskiéj w Rumunii.

Nieomal do cudów zaliczyćby należało, że instytucja dorywczemi składkami utrzymywana na emigracji, od czterech lat nietylko istnieje ale nawet w tak krótkim czasie wielce się rozwinęła. Mimo rozproszenia Polaków w Rumunii i faktycznego indifferentyzmu, biblioteka świadczy, że dużo jest jeszcze żywiołu jędrnego, szczeropolskiego pomiędzy nami. Na nim tedy się opierając, śmiało patrzymy w przyszłość i tuszymy sobie, że z czasem wszyscy rodacy, którzy nie wyparli się pochodzenia swego, uznają ważność Biblioteki, téj jedynéj naszéj skarbnicy narodowéj na gościnnéj ziemi Rumunów istniejącéj — i wedle możności nad jéj rozwojem pracować będą. —

Kraj, przez ludzi dobréj woli i w rb. starał się o wzrost tułaczéj książnicy. Prawie wszystkie Redakcje z Galicji i Zaboru pruskiego zasilały bibliotekę czasopismami i książkami. Z opiekunów zaś szczególnie czynnymi byli: J. I. Kraszewski, M. Darowski, Dr. Libelt, Dr. Kopernicki i pułk. Kopernicki. Czasopisma otrzymywaliśmy darmo: Tydzień, Kraj, Dziennik polski, Gazetę Narodową, Mrówkę z Biblioteką, Dziennik literacki, Kalinę, Sobótkę, Przegląd Polski (tylko I półrocze), Tygodnik lekarski, Rólnika galicyjskiego i z Prus Zachodnich; za częściową opłatą: Dziennik Poznański, Szkołę, Strzechę, Bibliotekę powieści i romansów. — J. I Kraszewski i K. Forster ofiarowali swe dzieła nakładowe, wielu innych mniejsze poprzesyłało dary. Tak zasłużonym dobréj sprawie Mężom składamy w imieniu członków Biblioteki serdeczną podziękę, publiczności zaś przedkładamy niniejsze sprawozdanie, jako dowód, że uczynność obywatelska ludzi dobréj woli znalazła silny oddźwięk i padła na serca spragnione wiedzy i wieści ze stron ojczystych, — jako zachętę i przypomnienie, aby coraz większe koło rodaków w kraju i na emigracji wspierało instytucję Biblioteki Polskiéj w Rumunii.

Dochody Biblioteki:

Remanent z r. 1869 —	46	fr.	33 c.
Czysty dochód z loteryi	74	„	— „
Do przeniesienia	120	fr.	33 c.
Z przeniesienia	120	fr.	33 c.
Czytelnia i gmina Michaliny	66	„	95 „
Czytelnia Bukareszt	62	„	96 „
Czytelnia Niame	154	„	43 „
Nadzwyczajne od Opiekunów itd.			
a) na rzecz biblioteki	50	„	25 „
b) na W. Heltmanna	10	„	64 „
	500	fr.	1 c.

Rozchód Biblioteki:

Kupno książek	228	fr.	38 c.
Oprawa	33	„	20 „
Na czasopisma	15	„	— „
Koszta przesyłkowe książek i korespondencja	51	„	33 „
Nadzwyczajne:			
a) na Heltmanna	34	„	39 „
b) zwrot na inny cel przeznaczonych	12	„	— „
c) wsparcie jednemu z członków	3	„	— „
	377	fr.	20 c.

Zostaje więc remanentu na r. 1871 — 122 franków 81 centimów. Liczby są wedle wyobrażeń tegoczesnych najwymowniejszym argumentem wartości działań ludzkich. Przypominamy tedy, że w końcu pierwszego roku istnienia Biblioteki było około 300 dzieł a zaledwie 200 fr. dochodu, w drugim roku 387 fr., w r. z. 469 fr. — Obecnie zaś 500 fr. i przeszło 900 tomów powiększéj części dzieł wyborowych. Praca mrówcza, ale wytrwała nawet wśród powszechnego pogromu i nieszczęść przynosi owoce. Sapienti sat!

Jassy, 31 grudnia 1870.

Zarząd Biblioteki polskiéj w Rumunii.
X. Chwała. Dr. Łukaszewski. Dr. Otremba. W. Słoniński.

Adres zarządu: Dr. Łukaszewski, à Jassy (Moldavie) poste restante.

Przegląd literacki.

Wielki los przez Martę Moimir. W Krakowie. Nakładem i czcionkami drukarni „Czasu.“

Ostatni poszyt „Przeglądu Polskiego“ na r. 1870 zawiera na początku działu recenzji literackich ciekawą krytykę działalności naszéj na polu piśmiennictwa z ubiegłego roku. W krótkiém tém sprawozdaniu, prócz stronniczego tu i owdzie sądu, spotykamy bardzo enne, choć gorzkie prawdy, którychby niejednemu nie zawadziło posłuchać.

Przytoczymy tu słów kilka:

„Krytyka dziennikarska utworów literackich stała się dzisiaj, z małemi wyjątkami, potulną kierunku politycznego sługą, a nic wstrętniejszego, jak owo towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, jakie dzienniki i dzienniczki z pisarzami i bazgraczami zawierać zwykły, nic bardziéj upadlającego literacką godność, jak owo fabrykowanie wielkich ludzi, na porządku dziennym u nas w dziennikarstwie będące.“

Sądziłby niejeden, że pismo, karcące tak surowo cudze błędy, samo jest od nich wolném. Każdy jednak bezstronny sędzia spostrzeże z łatwością, że i Przegląd Polski, mający pod innym względem niezaprzeczone zasługi, sam niekiedy staje w szeregu tych pism, co to wedle własnych słów jego, milczą n. p. o Rocznikach Tow. historyczno-literackiego w Paryżu, milczą o Rocznikach Tow. Nauk. Krakowskiego, ale trąbią głośno sławę nowonarodzonego geniuszka. Przegląd polski, który dzieła rzetelnéj wartości, jak n. p. Odczyty Cybulskiego o poezyi XIX wieku, zbywał kilku ogólnikami pod rubryką zapisków bibliograficznych, rozpisuje się szczegółowo i nader pochlebnie o powieści: Wielki los, bynajmniéj nie zasługującéj na sypane jéj tak hojnie pochwały.

Zbyt wysoko cenimy zmysł krytyczny p. Stanisława Koźmiana, byśmy go mogli posądzać, że się nie poznał na małéj wartości utworu p. Marty Moimir; tém przykrzejsze natomiast czyni na nas wrażenie to wynoszenie zalet „nowego geniuszka" w tym samym zeszycie, w którym się tak surowe wypowiedziało zasady.

Recenzent poczuwając się do téj winy, poczynił tu i owdzie pewne zastrzeżenia, które wszakże wypowiedziane w formie ogólników, w niczém powieści nie zdają się ujmować. — Tymczasem „Wielki los" należy do rzędu bardzo pospolitych wyrobów, jakich mnóstwo spłodzili drugo i trzeciorzędni nasi powieściopisarze. Nie odznacza się on ani pomysłem, ani téż wykonaniem. Stara to, jak świat baśń o szlachetnéj, rozumnéj i zacnéj sierocie, co po utracie rodziców dostaje się w dom ambitnych krewnych, którzy pomimo, że podziwiają jéj zalety i unoszą się nad jéj dobrocią, nie zezwalają na związek syna Stefana z dość ubogą Helcią. Domyślny czytelnik pojmie, że dwoje serc, kochających się mimo wszelkie zawady i losu igrzyska, łączy się wreszcie i — romans skończony. Na nieszczęście stary ten przedmiot w nienową p. Moimir przybrała szatę. Helcia, ten ideał wcielony, samą obecnością swoją leczący chorych, jak prezesową i wojewodzinę, wystawiony na wszelkiego rodzaju próby, skutkiem zmian losu pełniąc obowiązki guwernantki, narażony na niezbędne zaczepki rozpustnego wojewodzica (ustęp ten zapożyczony z autorki „Mrowina i Trocka"), wpływa na poprawienie lowelasa, który odpokutowawszy za ciężkie grzechy umiera w Ameryce in odore sanctitatis, co znów przypomina autorkę „Pierwszéj młodości, pierwszych uczuć" — ideał ten mówię, jako „Wielki los" dostaje się w udziale niezasłużonemu, lecz szczęśliwemu Stefanowi.

Stefan, jeden z ludzi tuzinkowych, z naiwnością podziwiający uczoność swéj heroiny, tém chyba zwracający na siebie uwagę czytelnika, że w kościele, gdy go „szał ogarnął" daje poznać Helci swe miłosne zapały — późniéj zaś bawiący dla interesów finansowych we Wiedniu, a usunięty zupełnie z widnokręgu powieści — niepojętym dla nas sposobem podbija serce wielkodusznéj Heleny, aż do owéj sceny w kościele nie podzielającéj jego miłości. Rozwiązania téj zagadki napróżno siliłby się czytelnik znaleść w akcji rozwlekłéj, dramatyzowaniu niezręczném. Zarzuciłbym daléj autorce brak konsekwencji w miejscu, gdzie do Halki, mieszkającéj w Dreźnie pod pseudonymem Bellardi, trafiają listy i stary opiekun jenerał; a jednakże nikt nie wiedział o miejscu jéj pobytu. Jakim zaś sposobem ją odkryto, nie objaśnia autorka. Daléj dziwni są w swojém milczeniu do końca powieści panowie Leszczyc i Orfil, tak rozkochani w Halce, a nie spieszący bynajmniéj dowiedzieć się, kogo z nich wybrała po dwutygodniowym terminie.

Wielki los uważamy za dość szczęśliwą próbkę powiastek dla młodzieży, a do wróżenia talentowi p. Marty Moimir w tym kierunku powodzenia, upoważniają nas zręcznie zwykle na początku rozdziałów wypowiedziane moralne sentencje. Ale i w tym rodzaju należałoby autorce popracować niemało nad wyrobieniem sobie stylu. Dla tego téż nie godzimy się zgoła na następne słowa p. Koźmiana:

„Na zakończenie należy się zwrócić uwagę na czystość i jędrność stylu i języka, któréjby naszéj autorce mógł pozazdrościć niejeden z głośnych pisarzy i ludzi trudniących się nauczaniem i badaniem języka polskiego."

Smiemy twierdzić, że szanowny krytyk rozminął się tu zupełnie z prawdą. Czujemy dobrze, że podobny zarzut uczyniony tak poważnemu pisarzowi, jakim jest p. Koźmian, wyda się niejednemu zuchwałym. Dla tego téż, nie wojując ogólnikami, przytaczamy poniżéj pierwszy lepszy cytat dłuższy. a następnie kilka znaczniejszych błędów językowych i gramatycznych.

Str. 25: „Zastała Halkę zatopioną w domowych rachunkach, od których wszakże czémprędzéj wesoło się zerwała, widząc wchodzącą ciotkę.

— Jeżeli masz co pilnego do skończenia, to ja poczekam, kochanie. Przerwane rachunki już się nigdy drugi raz zgodzić nie chcą. Przynajmniéj ze mną tak bywało. Ale twoja główka wszystkiemu podoła. —

— Moja główka nie lepsza od innych, na dowód czego dziś mnie nawet trochę boli. Lepiéj zatém, że rachunki na jaką godzinkę przerwę. Niech ciocia siada tu na tém wygodném krześle.

Posadziwszy prezesową, Halka sama usiadła u jéj nóg na niskiéj ławeczce. Ciotka ją pogłaskała i po krótkiém milczeniu:

— Powiedzno mi Halko, zapytała, co ty myślisz w ogóle o życiu domowém? czy go znajdujesz lepszém, użyteczniejszém od życia na wielkim świecie?

— Ja, ciociu? odrzekła tą dziwną przemową zaciekawiona, ja między niemi nawet porównania nie robię, w moich oczach życie na wielkim świecie nie jest całkiém życiem, jest raczéj zaprzeczeniem takowego."

Autorka czuje szczególną przyjemność w dodawaniu do słów zaimka zwrotnego się, — mówiąc zawsze: spojrzeć się, patrzeć się i t. d.

Str. 24: ukończony młody człowiek.

„ 53: pamiętny już tylko ambitnych planów, z któremi się pieścił.

Str. 53: żadne słowo już wymówione nie zostało.

„ 65: wzywał wszystkie uczucia honoru.

„ 116: Całodzienną niemal podróż do Marjampola użyła na uspokojenie fizyczne i moralne itd.

Str. 121: Nie mógł nie być uderzony dziwném zachowaniem się tego pana.

Str. 125: (Stefan odprowadził Halkę do hotelu...). Przy drzwiach jéj pokoju pożegnała go, podając rękę, którą on namiętnie i długo do ust przyciskał.

Str. 169: Przytem starała się wszelkiemi sposobami, i to z największą dyskrecyą, nie wypytując mię nigdy o nic, uprzyjemnić mi pobyt w jéj domu.

Str. 196: Czy wam co do szczęścia brakuje?

Sądzimy że już po tych niewielu cytatach żaden z ludzi, trudniących się nauczaniem i badaniem języka polskiego, nie zechce p. Marcie Moimir pozazdrościć „czystości i jędrności stylu i języka."

K.

Skrzynka do listów.

Panu K. F. w Berlinie. Recenzja nadesłanego nam dzieła wkrótce się ukaże.

Panu J. N. w Krakowie. Oczekujemy studjum o Lamartinie.

Panu Kazimierzowi Krzyżanowskiemu w Monachjum. Prosimy o przyobiecane próbki.

Szanownéj Redakcji pisma: „Vestnik bibliograficky". Dziękujemy za łaskawą pamięć.

Odpowiedzialny redaktor Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.